

ZIARNO



ELŻBIETA LEBRUN.

PORTRET WŁASNY.

Francuz o żydach w Polsce.

Sprawą żydowską u nas zajmuje się gorliwie zagranica. Zależnie od tego, czy prasa niemiecka lub francuska znajduje się pod wpływem żydów lub jest od nich niezależną, brzmia głosy fałszywe lub szczerze.

Bardzo trafnie ocenia sprawę żydów w Polsce „l'Action Française“, pismo redagowane przez Leona Daudeta, przytaczając z znajomością rzeczy zestawione dane i cyfry. Oto głos ten w streszczeniu:

„Zbyt daleko zaprowadziłoby nas tłumaczenie szczegółowe, z jakich powodów żydzi osiedli w Polsce liczniej aniżeli w innych krajach — mówi autor rzeczonygo artykułu — z jakich powodów Polska stała się dla nich prawdziwą „ziemią obiecaną“. Politycy jasno na rzeczy patrzący zdawali sobie zawsze sprawę z niebezpieczeństwa żydowskiego, z rozprzężenia, które żydzi w polskim życiu społecznym szerzyli. To niebezpieczeństwo, to rozprzężenie w czasach, kiedy Polska była niepodległą, wskutek wrodzonego usposobienia żydów stawania zawsze po stronie silniejszego, a tem samem nieośmielających się ujawniać swych dążeń zgubnych i agitować przeciwko tym, w których ręku spoczywa władza — to niebezpieczeństwo, powtarzamy, nie ujawniało się tak wyraźnie, jak dopiero po rozbiórce Polski.

Po rozbiorach nowe położenie wytworzyło się dla żydów. Państwa zaborcze mogły się nimi posługiwać w celu łatwiejszego opanowania zdobytego kraju, zwyciężeni zaś łącząc się z nimi, liczyli, przynajmniej w teorji, że łatwiej zdołają się oprzeć wpływom obcym. W ten sposób od czasów rozbioru Polski żydzi byli zawsze, a raczej mogli być uważani za żywoł, który sobie wydzielali i zdobywcy i zwyciężeni. Jasnym jest, że korzyści ciągnęli z tego stosunku zdobywcy, a zwyciężeni opłacali koszty tej gry, a w naiwności swej dopomagali żydom do niszczenia własnych swych interesów.

Dodajmy jeszcze do tego prądy równościowe, liberalne, socjalistyczne — pierwsze rozprzestrzeniano w Polsce samej, ostatnie są pochodzenia żydowskiego i wschodniego — a zrozumieć łatwo, dla czego w Polsce nie chciano nigdy ustaw wyjątkowych dla żydów. Ustawy podobne, „prześladowania“, zastosowane do pewnej kategorii obywateli — chociażby byli żydami — mogły być kompromitującymi dla takiego ludu jak polski, liberalnego i obrońcy wszelkich wolności. W tym samym czasie, kiedy w wszystkich innych krajach prześladowano żydów, w Polsce nie tylko oni zażywali wszelkich wolności, ale „nadszakiwano“ im i dozwolono zająć w handlu, a mianowicie w przemyśle

stanowiska przewodnie, poniechane wskutek przesądów przez polaków.

W ten to więc sposób stało się, że obecnie na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej polskiej żyje pięć i pół miliona żydów, czyli prawie połowa wszystkich istniejących na świecie, a przeszło połowa mieszkających w Europie. W samem Królestwie Polskiem było żydów w 1909 r. 1,747,655 czyli 14,7 procent ludności. (W roku 1893: 13,0 proc., w r. 1905: 14,5 procent). W Warszawie samej jest 281,754 żydów czyli 34, a w Łodzi 33 proc. ludności. W Królestwie zamieszkują żydzi przeważnie miasteczka (46,4 procent ludności), mniej ich znacznie po wsiach (2,7 proc.). Ludność żydowska w Królestwie Polskiem ciągle się więc powiększa (przynajmniej do r. 1909).

W przeciwieństwie do tego zmniejsza się ilość żydów w zaborze austriackim i pruskim. W Polsce pod zaborem austriackim (wyłącznie Śląsku austriackiego) jest 930,406 żydów, czyli 10 proc. całej ludności — przed kilku laty było ich jeszcze 11 proc. — ale są jeszcze w Galicji miasta, gdzie dochodzi ludność żydowska do 90 procent.

W Polsce pod zaborem pruskim naliczono w 1909 roku 53,500 żydów czyli 1,5 procent ludności (w 1827 r. było 7 proc. żydów). Tam z wszystkich części Polski procent ludności żydowskiej najbardziej się zmniejsza: Berlin, Frankfurt i inne wielkie miasta niemieckie pociągają ich, więc opuszczają bez żalu ziemię polską, bo w obecnej chwili polacy pod panowaniem niemieckim są tak dalece zorganizowani, że mogą się bez nich obyć i zwalczać ich nierzetelne współzawodnictwo. Żydzi w zaborze pruskim przelekli się sami, widząc ucieczkę swych współwyznawców z tej części Polski; na zjeździe w Poznaniu postanowili utworzenie biura wywiadowczego w celu dopomagania swym współwyznawcom, którzy zdecydują się do nieopuszczenia dzielnicy.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, że żydzi zaboru pruskiego najściślej związani są z hakatystami i że ruch antypolski znajduje pomiędzy nimi nietylko najgorętszych zwolenników, ale i przywódców uświadomionych, gotowych użyć wszelkich środków do walki z polskością i polakami. Ale położenie jest tam przynajmniej jasnym: polacy z żydami nic nie mają wspólnego — obie strony żyją w zupełnem rozłączeniu — sprawa asymilacji nie wyłania się nawet, ponieważ od lat dawnych została już rozstrzygniętą. Żyd jest tak samo niebezpiecznym wrogiem jak i Niemiec; więc wszyscy są zgodni pod tym względem: ani z żydami, ani z Niemcami!

O wiele więcej skomplikowanem jest położenie w Galicji. Najpierw kraj jest uboższym; mimo, że handel polski w czasach ostatnich rozwinął się znacznie, nie jest jeszcze dostatecznie zorganizowanym, aby mógł podjąć walkę z handlem żydowskim.

Dalej—Wiedeń przyciąga również pewne żywioły żydowskie, tak samo jak wielkie miasta niemieckie, ale wędrówka do Wiednia nie przybiera tych rozmiarów, ponieważ w Galicji czują się żydzi jeszcze u siebie. Austrija rozciąga nad nimi czułą opiekę; a wreszcie w Galicji mogą płaszcz nosić na dwu ramionach, łączyć się raz z polakami to znów z rusinami i w ten sposób wywierać znaczny wpływ w zagadnieniach wielkiej wagi. Trzeba więc koniecznie liczyć się z nimi i nie można im wypowiedzieć wojny na całej linii, dopóki handel narodowy nie będzie dość silnym i dopóki nieporozumienia wewnętrzne nie będą załatwione.

Najtragiczniej przedstawia się sprawa żydowska w zaborze rosyjskim. Najpierw dla tego, że żydów bardzo tam dużo. Chociażby chcieli, wychodźstwo w głąb Rosji jest im zabronione. Zapominać nie trzeba, że w cesarstwie rosyjskim żydzi znajdują się tylko na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej polskiej, w samej Rosji jest ich bardzo mało. Dalej w głębi Rosji podlegają takim prawom wyjątkowym, że to ich zachęcać nie może do przenoszenia się w te strony. Przeciwnie nawet, setki tysięcy żydów, wypędzonych przez rząd lub z własnej woli przeniosły się z Rosji do Polski, i są żywiołem rusyfikatorskim nader niebezpiecznym, którego wpływom ulegli żydzi dawno zamieszkali w Polsce, co wszystko wpłynęło na rozbudzenie tam sprawy żydowskiej. Dodajmy jeszcze i to, że rząd rosyjski, nieznoszący żyda w głębi Rosji, chętnie go widzi w Polsce i otacza wszelką opieką.

Tak jak wszędzie, w Królestwie Polskiem zagarnęli żydzi w swe ręce przedewszystkiem handel (85 procent kupców jest żydów; kupców zaś zbożowych 95 proc.), a potem drobny przemysł (56 proc. krawców

jest żydów; w fabrykach wody mineralnej żydów jest 58 proc., w fabrykach tytoniu 75 proc. itd.). W ostatnich latach jednakże nacisk żydów przybyłych z Rosji, połączonych z miejscowymi, stał się tak groźnym, że wobec niego polacy „obudzili się“ i zaczęli się bronić przed żydowstwem. Z małymi bardzo wyjątkami prasa cała podjęła także walkę z żydami i rozbiera kwestję żydowską w celu oświecenia swych czytelników o niebezpieczeństwie żydowskiem i wskazywania środków obrony przed nieuczciwością i bezczelnością żydowską. Powoli, ale według programu z góry nakreślonego rozpoczęto pracę unarodowienia handlu i drobnego przemysłu, a nie rzadko już widzieć można upadające przedsiębiorstwa żydowskie, na których miejsce powstają czysto polskie. Społeczeństwo zaczyna już rozumieć, że owe wszystkie „wygody“ żydowskiego handlu (taniać i łatwość kredytu itd.) opłacało albo gorszą jakością towaru, albo też gorszą wagą i miarą.

To samo już starczyło, aby mieć się na ostrożności wobec żydów. Ale były gorsze sprawy. Żydzi, aby jak najkorzystniej prowadzić swe interesy, demoralizują lud, mianowicie po wsiach; zachęcają np. dzieci do okradania rodziców i odkupują za bezcen skradzione przedmioty. W ich ręku wyłącznie znajduje się handel żywym towarem i w wielkich rozmiarach przemysłnictwo. Wszelkie środki były i są dla nich dobrymi w celu demoralizowania polaków, by siać nieporozumienia, by ich drażnić, a następnie przedstawiają się jako „ofiary“. Ale na szczęście na tych „ofiarach“ poznano się. Wiedzą wszyscy, do czego są zdolni, wykryto, że nawet pogromy, o których żydzi opowiadali, że zorganizowali polacy, były dziełem wyłącznie żydowskiem, przygotowanem i wykonanem w celu dyskredytowania polaków tak w Polsce jak i zagranicą. Nie ma już dzisiaj żadnej wątpliwości, że żydzi tracąc w Polsce z dnia na dzień coraz więcej terenu działalności swej, z dnia na dzień coraz więcej stawają po za nawiasem społeczeństwa polskiego, które nic wspólnego z nimi mieć nie chce, i które w nich widzi tylko swego wroga najniebezpieczniejszego“.



Między niebem a Warszawą.

(Wrażenia redaktora „Ziarna“ z podróży napowietrznej z A. Pégoudem, słynnym lotnikiem francuskim).

Pochmurny dzień miał się ku schyłkowi, kiedy korzystając z uprzejmości pp. E. Szyllera, Cz. Zakrzewskiego i A. Tuczyńskiego podążyliśmy wysięgowym Peugeotem i Horchem po godzinie 6-tej do awjaty wojskowej. Telefonował do nas z tamtąd Pégoud, że czeka tylko na pozwolenie władzy, aby wypróbować swój większy aparat, z którym ma zamiar popisywać się w najbliższym czasie przed publicznością warszawską.

Otrzymałszy z kolei oba swoje aparaty Blériota o 50 i 80 HP. próbował był mniejszy z nich z niezbyt pomysłnym wynikiem. Podczas wykonywania linii kręconej nad parkiem Agrykoli zawiódł motor, przez co sławny pilot stracił nad nim władzę i upadł na drzewo. Aparat uległ zniszczeniu, lecz Pégoud dzięki swej zimnej krwi wyszedł cało z gwałtownego spadku, zachowując jako pamiątkę tylko nie wielką dziurę w ubraniu.

Mimo to nie stracił dobrego humoru i z zwykłą u francuzów pewnością siebie doglądał montowania drugiego monoplanu Blériota.

Dla samochodów, wiozących redaktorów i ich

panie otworzyło się nie zbyt gościnne zresztą pole Mokotowskie. Zajeżdżamy przed bramę awiaty, gdzie wita nas Pégoud z swoim sekretarzem i kilku sportowcami z p. Stępowskim na czele. Nie ma jeszcze pozwolenia na dokonanie wlotu.

Nie tracimy nadziei, przedstawiamy gościa z Paryża paniom i częstujemy go warszawskimi cukierkami. Nadjeżdża jeszcze kilka samochodów; jest i p. Bitschan z swoją „Minervą“, nie brak i p. M. Mrozińskiej, która z ciekawością obytej już aeroplanami sportsmenki bada ruch na polu Mokotowskim.

Naraz słyszymy w górze znany szum motoru. To dwupłatowiec Farmana, który z Brześcia litewskiego w dwu godzinach przeleciał 300 wiorst, aby złożyć wizytę awjacie i Pégoudowi. W eleganckich, pewnych ruchach zakręca koło i opuszcza się zgrabnie na ziemię. Wsiadają z niego piloci, witani serdecznie przez kolegów i zaproszoną publiczność.

Tymczasem wytaczają na pole jeden i drugi monoplan wojskowy. Piloci zajmują w nich swoje miejsca i wkrótce krążą nad Warszawą. A my czekamy cierpliwie w dalszym ciągu.

Wreszcie oświadcza nam oficer dyżurny: Pozwolenie na wlot próbny nadeszło! Pégoud przyjmuje tę wiadomość z właściwym mu spokojem i zwraca się w stronę redaktorów: „A teraz proszę o pasażera“!

Nie napisałem testamentu, nie pożegnałem się z rodziną i chociaż serce mi bije trochę przed bądź co bądź nie codziennem przedsięwzięciem, ubieram twarz w najpiękniejszy uśmiech i oświadczam gotowość uczestnictwa w wzlocie. Poprzednio zapewniał mi Pégoud, że o ile zabierze przedstawiciela prasy, ceniąc zdrowie i życie współpracownika tak poczytnego pisma, wykona tylko zwykły, codzienny lot poziomy, bez swoich ewolucji powietrznych, które są dzisiaj zdarzeniem epokowym lotnictwa.

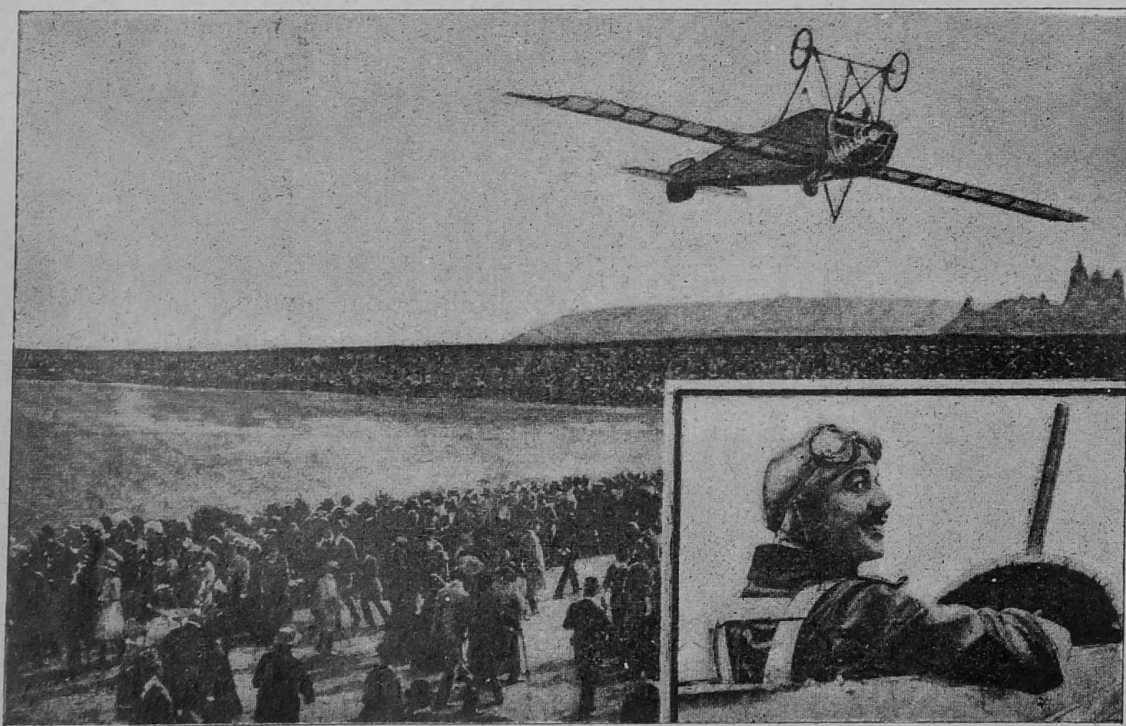
Panie częstują mię na pożegnanie cukierkami, redaktorowie i przyjaciele ściskają dłoń z pewnym, źle ukrywanym współczuciem — i niebawem podążam za moim pilotem do warsztatów awjaty. Tam obok pracujących nad składaniem skrzydeł nowego latawca, stoi „nasz“ monoplan Blériota z motorem Gnôme o sile 80 HP. Zajmuje się nim mechanik francuski, badając ściśle każdą śrubkę, każdy drut, każde żebro skrzydła. Mija jeszcze kwadrans, przynoszą i nalewają benzynę, i śliczny, zgrabnie zbudowany aeroplan jest gotów.

Korzystam z uprzejmości gospodarzy, kładę kask i kaftan skórzany. Tymczasem płatowiec wytaczają na kółkach na środek pola. Pégoud uśmiecha się, zagaduje wesoło i patrzy z pod oka; czy pasażer „od prasy“ nie stracił odwagi. Mam na szczęście twarz prawie zakrytą; zresztą dziwna przejmuje mię ufność do tego człowieka.

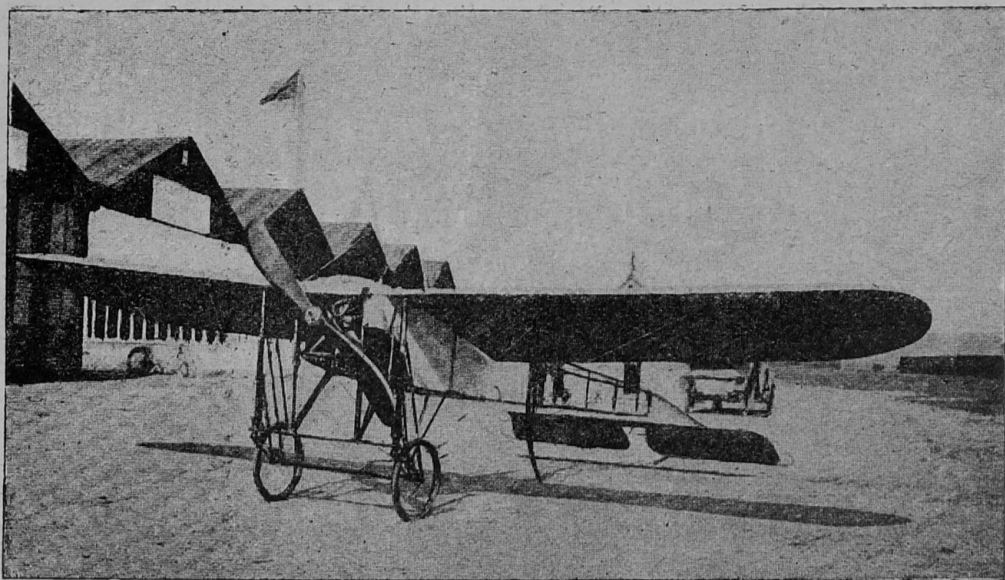
Aby wdrapać się na wysokie siedzenie, trzeba założyć w przygotowany otwór lewą nogę, odbić się od ziemi i już umieszczam się jak mogę na wązkim krzeselku. Ale co to? Pégoud, nie tracąc żartobliwego tonu, zakłada mi pas na żołądek, przeciąga rzemienie przez plecy i starannie zapina pasy dokoła nóg. Coś przeczuwam, ale cofnąć się już zapóźno. Nie można narażać wobec francuza polskiej redakcji na zarzut tchórzostwa.

Pégoud bada dokładnie wszystkie druty, zagląda w każdą szczelinę, próbuje motoru i śmigła i to dodaje mi odwagi. Wszystko gotowe! — woła mechanik. Mój pilot zakłada tak samo pasy i niebawem puszczonej w ruch motor z szaloną szybkością obraca śmigłem. Tamuje to na razie oddech i nie łatwo przyzwyczaić się wogóle do nabierania w tych warunkach powietrza. Ale trudno; w górnych rejonach nie może wszystko dziać się tak samo jak na burżuazyjnej ziemi.

Jest godzina 7 min. 54; płatowiec biegnie szybko kilka dziesiąt metrów i odrywa się od ziemi. Staje to się tak łagodnie, że trudno zauważyć, kiedy wzniesliśmy się w powietrze. Niebawem poucza mię o tem wzrok. Zakręcamy jedno i drugie koło; 300, 500, 800, 1000 metrów nad ziemią! Dziwne uczucie patrzeć w dół na zmniejszające się stale przedmioty; zato na tle wieczornego nieba wspaniała rozciąga się przedemną panorama. Widzę niebawem całą Warszawę z jej wieżami, placami, ogrodami, z szachownicą jej domów i kamienic, z wijącą się w poprzek wstęgą srebrną Wisły. Namioty na polu Mokotowskim wydają się niby białe, papierowe pudełka; na



A. Pégoud na aparacie swym, jednopłatowcu Blériota. U góry lot z aparatem przewróconym.



Jednopłatec Pégouda przed hangarami.

jasnej zieleni placów i ogrodów rysują się jasne, wąskie linje, to drogi i ścieżki, po których dają i stoją małe postacie: to ludzie. W oddali na krańcach pól i czerniejących lasów różowe od zachodu obłoki, a w okół nas niezmierna, nieogarniona przestrzeń.

Pégoud odwraca się do mnie, chwyta za dłoń i pyta, czy mi dobrze. Odpowiadam: ça va bien — (dziękuję, dobrze) — i radbym, by cęprędzej zajął się znów swoim motorem. Bada kolejno zegarki i wskazówki; poprzez plecy jego widzę, że znajdujemy się na wysokości 1200 metrów. Wcale nieźle, jak na zwykłego śmiertelnika! Naraz ściskam mimowoli rękoma drewniane podpory skrzydeł; lecimy lewym skrzydłem na dół. Pégoud znów odwraca się i patrzy z uśmiechem na mnie; kiwam mu głową i radbym powrócić do normalnej — jak na pasażera w płatowcu — pozycji. Ten sam manewr powtarza się z prawej strony! Pégoud pompuje powietrze do motoru, patrzy na wykaźnik benzyny, błękitnie rysującej się w szklanej rurce — naraz dziwne ogarnia mię uczucie. To jego słynny looping the loop! Zdaje mi się, jakoby żelazna deska leżała na mej głowie, trochę mi mdło i nieprzyjemnie. Lecimy do góry nogami; pasy zaledwie wyprężyły się trochę, ciśnienie dośrodkowe trzyma mię mocno na siedzeniu. Na raz wykonywa aparat gwałtowny ruch w górę, przyczem mimo woli zamykają się oczy: — Wracamy do normalnej pozycji. Znów patrzę normalnym sposobem na Warszawę z tysiąca metrów wysokości. Ale Pégout pamięta, że z dołu śledzą lot jego redaktorzy i dziesiątki kolegów z awjaty. Jeszcze w śmielszym, zawrotniejszym biegu powtarza poprzedni manewr. Drugi węzeł głową na dół udaje się równie świetnie, lecz uczucie przykrego nacisku, spowodowanego napływem krwi do głowy, jest jeszcze nieprzyjemniejsze. Radbym już zejść z tych wyżyn, na których ma się uczucie jakiegoś niezwykłego, potężnego, lecz bezwolnego istnienia. Minęło 12 minut; Pégoud pokazał część swych śmiałych ewolucji, dowiódł doskonałej sprawności i nieosią-

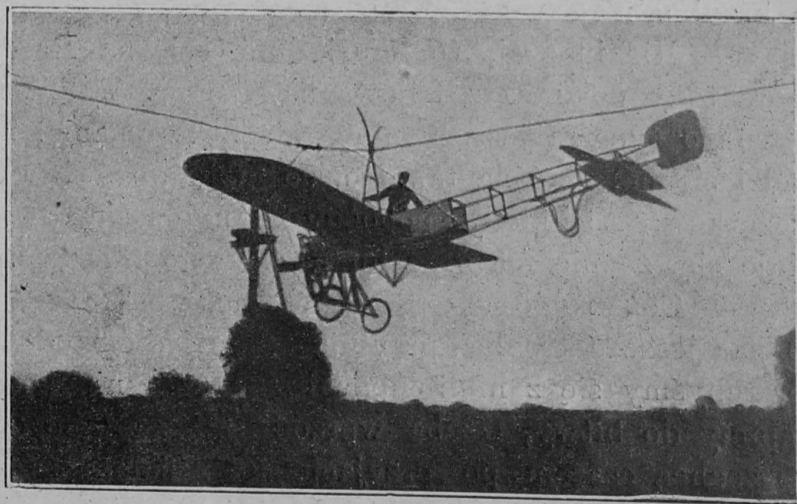
gnionej dotąd pewności w kierowaniu aeroplanem i postanowił wylądować. W szerokim półkolu obniżył swój lot do 600 potem 400 met. Naraz zatrzymał motor i niby błyskawica, wśród nieustającego szumu powietrza, przecinanego gwałtownie opuszczamy się na dół.

Raz jeszcze puścił w ruch silnik, chcąc przybliżyć płatowiec do wskazanego mu przez mechanika miejsca. Aparat Blériota bieży tuż nad ziemią, dotyka się kółkami i niebawem, po kilku metrach, zatrzymujemy się na gładkiem polu.

Jesteśmy znów na ziemi! Człowiek zrosł się z nią zbyt ściśle, aby nie wyczuwać ulgi wraz z zetknięciem z codziennym szarym żywiołem. Co innego Pégoud: ma terre à moi c'est l'air! (moją ziemią jest powietrze!) Niech mu służy i niesie go do nowych tryumfów i udoskonaleń w dziedzinie awjacji!

Wdzięczny mu jestem w każdym razie, że pozwolił mi, jako przygodnemu pasażerowi, podzielić się z nim poczuciem chwały współczesnego lotnictwa, a z czytelnikami „Ziarna“ niezwykłymi wrażeniami, jakie nie pisane mi były jeszcze przed 24 godzinami w szarym codziennym bycie!

Nie mogę porównywać Pégouda z innymi lotnikami, gdyż po raz pierwszy siadłem wraz z nim do aeroplanu. To jedno stwierdzić muszę, że ani na chwilę nie powstało we mnie uczucie niepewności lub obawy, które przypisałbym jego oku i ręce. Prowadził swego Blériota tak śmiało, spokojnie i pewnie zarazem, że mimo niezwykłych ewolucji powietrznych, wykonanych doskonale, z ogromną wprawą, ani na chwilę nie straciłem do niego zaufania.



Jednopłatec Blériota, używany przez A. Pégouda puszczany w ruch z linki.

Aż skończyły się i te 12 minut pamiętnego dnia 9 czerwca, i znów Péugeotem wróciliśmy w mury Warszawy. Puls dawał jeszcze przez kwadrans 120 uderzeń na godzinę; niebawem wszystko wróci-

ło do normalnego trybu. Został podziw dla śmiałego pilota, który dążąc do udoskonalenia awjacji zaszczyt przynosi swej francuskiej ojczyźnie.

Tadeusz Jaworski.



HENRYK RZEWUSKI.

Zamek krakowski.

Romans historyczny z wieku XVI.

(c. d.)

Zamiast rycerzy i tatarów z wielkim żalem pana Ezechiela spotykali tylko wieśniaków, często bryki obładowane towarami i żydami, czasem jakąś kolebkę poważnie przez czwórkę koni ciągniłą z szlachcicem lub kobietami.

Dopiero drugiego dnia po południu asauła Neczajny, mający wzrok nadzwyczajnie bystry, spostrzegł prawie na pograniczu widnokresu kilka pojazdów, a przy nich jeźdźców, o których zbroje odbijały się promienie słońca.

— Atamanie — rzekł do wodza — ku nam ciągną słonki. Czy nam pozwolisz poharcować z tymi panami?

— Jak się do nas przybliżą — odpowiedział ataman — to się rozpatrzmy, być może, że to są nasi przyjaciele.

— Panie atamanie — ozwał się pan Ezechiel — jużci to nie mogą być zaporozcy, a sam powiedziałeś, że cudzego, a uzbrojonego godzi się zaczepić.

— W jak gorącej wodzie kąpany! Chcesz być zaporozcem, a konia męczysz bez potrzeby, nie mogąc na miejscu ustać. Wszakże tamci ku nam dążą; pocóż spieszyć? postępujmy sobie wolnym krokiem, aż zobaczymy co to jest.

Jeszcze kilkadziesiąt kroków zrobili, gdy asauła krzyknął:

— Nie inaczej, to musi być księżna Rascji, która tędy powraca z Kijowa na Węgry. Tylko, że czarnego rycerza jeszcze nie widać. Atamanie! nie godzi się napadać na takiego, co idzie do świętych szczytków. Ale kiedy pobożny czyn już się odbył, zdaje się, że nie ma grzechu na takiego uderzyć.

— Cóż robić? — odrzekł ataman. — Jak się do nas jeszcze trochę przybliżą, nie jestem od tego, żebyśmy się z nimi pobawili. Wszakże nim przystąpimy do bitwy, trzeba wprzód ich zapytać, czy nie zechcą czasem po przyjacielsku z nami się podzielić? Bo na cóż szczybić broń i męczyć konie, jeżeli i bez tego można na swoim postawić.

— Słusznie mówi nasz ataman — odezwał się Neczajny — zacznijmy od tego, żeby którego z naszych z językiem posłać naprzód.

— Na co języka — rzekł pan Ezechiel — ja odezwę się trąbką!

— Broń w pogotowiu — krzyknął ataman.

Kozacy najeżyli spisy, a pan Ezechiel zatrał nutę ofiarującą przebaczenie, jeżeli się poddadzą; potem spuścił przyłbicę, kopię ścisnął ramieniem o żebra, a głowę schyliwszy i oczy przymrużając, wyglądał, na kogo ma uderzyć.

Już tabor coraz więcej dawał się widzieć. W tem wysunął się z niego rycerz w czarnej zbroi. Trzymał kopię w pogotowiu do potyczki i dobrym kłusem dążył, kędy zatrzymali się kozacy. Nikogo przy nim nie było, jakoby sam jeden chciał na wszytych się porwać, bo sposób, w jaki postępował, przekonywał, że nie po to się zbliża, aby wchodzić w umowę.

— To jakiś dzielny rycerz — odezwał się pan Kazimierz — ani pyta, ilu nas jest; myśli, że sam na wszystkich wystarczy. Trzeba go jednak przekonać, że i my nie tchórze. Na miejsca, mołojcy! sam z nim się rozprawię.

— Panie atamanie — rzekł pan Ezechiel — pan nie masz prawa wyrządzać mi podobnej krzywdy. Asauła Neczajny dopiero co mi powiedział, że według waszych ustaw ostatni, co do was przystaje, w pierwszym zdarzeniu musi dać z siebie świadectwo. Więc ten czarny rycerz do mnie należy.

— Prawda — odpowiedział ataman. — Nie ma co mówić, masz słusność za sobą. Ruszajże naprzód w imię Boże.

Tego nie było potrzeby powtarzać panu Ezechielowi. Ale gdy już między nim a czarnym rycerzem nie było nad kroków dwieście, tak dalece, że można było rozeznac godło, które ten ostatni miał na swojej tarczy, ataman ruszył z miejsca i wykrzyknął:

— Panie Ezechielu, ani mi się waż nacierać!

Ale tego pan Ezechiel czy nie chciał słyszeć, czy doprawdy nie słyszał. Z kopią naprzód poleciał, ile tylko Siwosz mógł wyskoczyć i runął na czarnego rycerza. Tamten stanął na miejscu i dał mu się przybliżyć nie więcej jak może o kroków pięćdziesiąt; dopiero naprzeciwko niemu konia wypuścił. Zetknęli się z sobą rycerze, jak dwie chmury w czasie lipcowych upałów. Kopia pana Ezechiela pokruszyła się w kawałki na zbroi czarnego rycerza, który nawet nie poruszył się na siodle, lecz gdy uderzył swego przeciwnika, ten w oka mgnieniu opuścił strzemiona, i przez tył konia powalił się o ziemię, aż ziemia się zatrzęsa pod ciężarem zbroi. Pan Ezechiel nie powstał, leżał nieruchomy, a kozactwo otoczyło zwycięzcę, krzyżąc:

— Niech żyje nasz Samucha!

— Cicho, durnie! — odpowiedział pan Samuel — Jak się masz, Detyno, i wy bracia? A co to za jeden, który teraz leży? co on robił między wami?

— Hetmanie — rzekł pan Kazimierz — jest to sługa niegdyś waszego domu, Ezechiel Zdora, któremu ani w głowie było potykać się z panem. Jest

to dla niego niemały zaszczyt: lękał się tylko, by go za drogo nie opłacił. Niedługo potyczka trwała.

— Ezechiel Zdora! wszakże to ewangelik jak ja, a nie bardzo po chrześcijańsku z nim postąpiłem. Trzeba ratować biedaka; a djabeł wiedział, że to on! No mołojcy, rozpierchajcie się i ruszajcie na Sicz; jeden tylko Detyna przy mnie pozostanie. Tylko żeby żaden z was nie ważył przybliżyć się do tych powozów. Dowiedziałem się o tobie Neczajny. Popisałeś się po gracku; było tatarów ledwo nie trzech na jednego, a przecież prawie ich noga nie uszła. A chrześcijański naród uwolniłeś od jasyru pogańskiego i za to nie wziąłeś zapłaty, jeszcze go obdarzyłeś. O tem nie zapomnę, jak stanę na Zaporozżu i postąpię cię na atamana. Ruszajcie dzieci, tylko cicho bez głośnych pożegnań, bo tego nie chcę!

Swiryd już był przy swoim panu, bo jak tylko ujrzał go leżącego, wyskoczył do niego z wózka. Pan Samuel i pan Kazimierz zsiadli z swoich rumaków, żeby mu pomódz do uratowania pana. Zdjęli z niego jak najspieszniej zbroję i szyszak. Pan Ezechiel leżał bez przytomności. Szczęściem niedaleko była krynica. Pan Samuel w szyszak leżącego rycerza nabrał wody i nią oblał pana Ezechiela, który oczy podniósł i zdawał się odzyskiwać cokolwiek przytomności, bo nawet rękę wyciągnął do pana Kazimierza, ale ani jednego słowa wyrzec nie mógł, tylko jęczał głucho. Krew mu się z ust puściła i znowu mdleć zaczął, a rycerze wodą ciągle go trzeźwili.

— Żał mi biednego Ezechiela — rzekł pan Samuel — ale jakaż z niego zrobiła się baba. Jam go tak jakby od niechcienia potrafił. Przecie to był kiedyś rycerz waleczny, w mojej przytomności dokazywał w Inflanciech i pod Połockiem. Nieborak musiał u swojego ojca zależeć pole, odkąd mu dano odprawę w Zborowie.

— Gdzie tam, panie. Niema tygodnia jak w oczach moich potykał się na ostre z Sahajdacznym. I tak go powalił toporem, że ani drgnął, i chyba na ostatni sąd wylezie z pod tej mogiły, cośmy ją na nim kazali usypać pod Kalnikiem. Ale pańskie razy są długo pamiętne. On miał zamiar do nas przystąpić i oddać siebie panu z duszą i ciałem. I dla tego towarzyszył mnie do Zaporozża. Na swoją biedę spotkał się z panem prędzej, niż się spodziewał. Krzyczałem na niego co było głosu w pierśsiach, żeby pana zaniechał i napowrót wracał. Ale czy mnie nie słyszał, czy coś przystąpiło do niego, nimem się opatrzył, on już leżał.

— Biedny człowiek! żeby mnie był pobił, to możebym się więcej nie frasował. Da Bóg, że jutro go odratujemy, bo on nie ranny tylko przybity. Już się zbliża ku nam księżna, małżonka despoty Raseji z swoim dworem. To miłosierna pani. Byle nam go dostawić na pierwsze spokojne miejsce, a cały jej dwór nim się zajmie. Jużci trudno opu-

szczać rycerza walecznego, którego cała wina, że go szczęście zawiodło.

Przybliżył się tabor. Blisko nich stanęła kolasa, w której siedziały dwie panie. Po prawej stronie siedząca, zdawała się mieć około lat czterdziestu, a jednak mogłaby uchodzić za piękną, gdyby nie sąsiedztwo niebezpieczne młodej dziewczycy, na której obliczu były rozlane tak czarujące wdzięki, taka szlachetna niewinność, że raz ją ujrzawszy niepodobna było zapomnieć jej rysów. Pierwsza była księżna panująca Raseji, druga jej rodzoną siostrzenicą, Gryzelda Batorówna, księżniczka siedmiogrodzka. Wysokie damy wysiadły z powozu, i księżna starsza, przybliżywszy się do pana Samuela, rzekła do niego po rusku.

— Rycerzu szlachetny, już po drugi raz winniśmy tobie wolność, sławę i życie. Kiedyż zdołamy się tobie wywdziękzyć. Nie taj dłużej przed nami swojego nazwiska. Niech wiemy, kto jest naszym dobroczyńcą, naszym puklerzem.

— Z mojej strony tylko winieniem wdzięczność, żeście, dostojne panie, nie pogardziły moim ramieniem. Co do mojego nazwiska, pozwólcie, panie, bym go jeszcze nie odkrywał; nie dość je wsławiłem dotąd. Mam jednak nadzieję, że kiedyś odważę się je objawić przed szlachetną małżonką despoty Raseji i przed piękną siostrzenicą władcy Siedmiogrodu.

— Rycerzu — odrzekła księżna — zbyt skromność ciebie unosi. To co wykonałeś dwa razy w naszej przytomności, jest dostateczne, żeby ci zjednać sławę. Ale widać, że ty nas nie masz za dość godne, byśmy śmiały z tobą ściślejszą zabrać znajomość.

— Mylisz się, księżno, a raczej chcesz sobie żart uczynić z biednego rycerza. Może mi nie wolno dać siebie poznać, lub nazwisko jest mało znane, że wstydzę się je odkryć.

— O nie, rycerzu. Ty jesteś członkiem jednej z tych rodzin zasłużonych w waszej ojczyźnie, gdzie dostojęństwa, zaszczyty i dzielność stały się spadkowe. Jeżeli nie, daj słowo rycerskie, że się omyliłam.

— Żadnego wysokiego dostojęństwa w ojczyźnie mojej nie piastuję, daję na to księżnie słowo rycerskie. Co się zaś tyczy mojego rodu — dodał uśmiechając się — jestem szlachcicem polskim, a jak księżnie wiadomo, nasza szlachta wysoko siebie ceni. Wszakże, jeżeli waszej wysokości serce nie może znieść tego, by prosty rycerz wam zrobił bezpłatną usługę, od was zależy hojnie mi ją wynagrodzić.

— Mów, rycerzu, czego żądasz!

— Kiedy mnie do tego dostojna księżna ośmiela, proszę mnie pozwolić ucałować ich rączki.

— Masz tę nadzwyczajną nagrodę — odrzekła księżna śmiejąc się i podała rękę rycerzowi, który przykleknawszy przybliżył ją do ust swoich.

— Gryzeldo — rzekła księżna — dajże i two-





JUDYTA.

N. SICHEL.

ją rękę temu walecznemu rycerzowi, co dotąd klę-
cząc z niecierpliwością jej oczekuje.

Na te słowa purpura zaległa oblicze księżni-
czki. Było w niej coś tak zachwycającego, że nawet
pan Kazimierz pomyślał sobie, iż dla tak cudownej
istoty najrozumniejszemu oszaleć wolno. Rękę swą
podała rycerzowi, który na niej położył pocałunek
przeciągły i długi. Księżniczka tak się zmieszała, że
zaledwo ją mogła cofnąć i machinalnie zakryła
twarz zasłoną.

Powstał rycerz i rzekł:

— Zwycięstwo, które nie mojemu męstwu, ale
chęci wam usłużenia, dostojne panie, przypisuję,
drogo kosztuje. Po zbroi poznaję, że ten, który le-
ży na wpół martwy, jest polskim rycerzem. Może
on ma matkę, cnotliwą rodzinę, kochankę, które
jego śmierć pograży w smutek i żalobę. Żyje on
jednak jeszcze; wspaniała księżna Rascji wie, jakie
są obowiązki rycerskie. Czy podobna opuścić wale-
cznego męża za to, że los zdradził jego odwagę?
Czy w dworze waszej wysokości nie masz jakiego
lekarza, któryby mógł go opatrzyć?

— Rycerzu — rzekła księżna — nad tym nie-
szczęśliwym Opatrzność czuwa. Na co się przyda
lekarz? Żaden z nich nie jest od Gryzeldy bieglej-
szym w swoim kunszcie. Ona wszystkich ziół zna
własności i byle cień życia w nim pozostał, ona mu
wróci zdrowie. Gryzeldo, przekonaj naszego zbawcę,
że jeżeli on umie zadawać rany, ty umiesz je goić.

— Rany, które ja zadaję — rzekł rycerz —
nie są jeszcze tak straszne, kiedy z nich wyleczyć
się można. Są inne rany, na które śmierć jest je-
dynym lekarstwem.

Księżna odezwała się do swoich ludzi:

— Trzeba tego rannego rycerza na rękach za-
nieść do pierwszego spokojnego miejsca, które spo-
tkamy. Tylko nieście go powoli.

Słudzy sporządzili naprędce nosze, pokryli je
płaszczami i na nich położyli pana Ezechiela. Ksie-
żniczka Gryzelda przybliżyła się do niego, wzięła
go za rękę, z lekka dotknęła się ręką swoją jego
piersi obnażonych, jakby śledząc jego ból, potem
położyła dłoń swoją na jego czole.

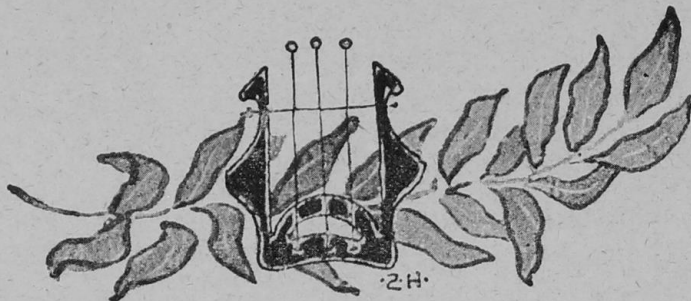
— Ma silną gorączkę — rzekła do ciotki — ale
byle go położono w jakie spokojne miejsce, ja od-
powiadam, że żyć będzie. Bo mam z sobą zioła je-
dyne, które tylko nad brzegami Sawy rosną. Ale
tych użyję dopiero, jak będzie spoczywał pod da-
chem na spokojnej pościeli.

Tymczasem kazała podać sobie apteczkę po-
dróżną. Wydobyła z niej naczynie z jakimś balsa-
mem. Chustkę swoją nim zmoczyła i tę położyła na
piersi chorego, a widząc, że Swiryd szczególnie
się zajmuje około niego, powiedziała mu:

— Oto masz słoń, trzymaj go w ręku i nie od-
stępuj swego pana, ale idź piechotą obok noszów.
Uważaj, żeby chustka się nie osuszyła, i często ją
skrapiaj tym balsamem.

To rzekłszy, skoczyła w kolasę. Księżna siadła
koło niej. Posuwały się naprzód, ale noga za nogą,
żeby się nie oddalać od noszów, na których leżał
niedomagający rycerz. Pan Samuel i pan Kazimierz
siedli na koń i wszyscy dążyli ku Berszadzcie, która
nie więcej małej milki była od nich oddaloną.

(d. c. n.).



Z cyklu: „Opamiętań”.

✱

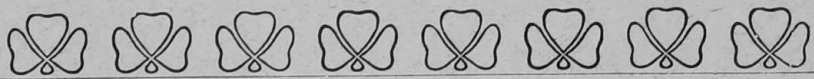
Jest mara, co za szczęściem jakimś w życiu goni
I z tęsknotą tumanną walczy i zamiera,
A czasem na człowieka przyjdzie taka era,
Że się wszystko na świecie w życia szal rozdzwoni.

I tak się zapamięta w tej blasków pogoni,
Że całe nieraz życie w jednej przejdzie chwili,
Drogę niejedną przebrnie, niejedną pomyli,
A myśli rozpalone jak pieniądz rozstrwoni...

I znowu przyjdzie męczeństwa godzina,
Na którą niema żadnej jasnej broni,
Gdy się od ducha myśl błędnie odcina... —

Świat taki piękny — w tym może przyczyna
Tkwi i to dlatego się mirażę goni
I coraz nowe się pogonie wszczyna.

Józef Węgleński.



Nasz kraj w cyfrach.

Powierzchnia Królestwa obejmuje 126,955 kw.
kilometrów*). W stosunku do Rosji europejskiej sta-
nowi ten obszar zaledwie 2,6 procent tej części pań-
stwa, a w stosunku do całej Rosji tylko 0,59 proc.
Korzystniej przedstawia się stosunek Królestwa do
cesarstwa rosyjskiego pod względem zaludnienia.
Według ostatniego ogólnego spisu, dokonanego przed

*) Wiorsta=1,066 kilom.

pięcioma laty, ludność Królestwa liczyła 12,467,300 dusz, co stanowi 10,3 proc. ludności europejskiej, a 7,4 proc. całego rosyjskiego imperjum.

Gęstość zaludnienia Królestwa jest znaczna: na 1 kw. kilom. przypada 98,4 mieszkańców. Z ziem dawnej Rzeczypospolitej przewyższa Królestwo pod względem gęstości zaludnienia tylko Galicja, w której obecnie mieszka na 1 kwadr. kilom. 102 głów. W porównaniu z zaludnieniem Rosji europejskiej ma Królestwo ludność jest cztery razy gęstsza, w porównaniu z całym państwem rosyjskim aż dwanaście razy gęstsza. Rozdział ludności Królestwa według wyznań przedstawiał się w roku 1909, jak następuje: katolików było 9,001,349, czyli 75,4 proc. ogólnej ludności, marjawitów 73,033, czyli 0,61 proc., prawosławnych 476,845 (4 proc.), protestantów 634,049 (5,32 proc.), żydów 1,747,655 (14,64 proc.). Najwięcej stosunkowo ludności katolickiej było w gubernji kieleckiej (88 proc.), najmniej w lubelskiej (65 pr.). W miastach ludność katolicka stanowi na ogół 47,4 proc., najwięcej w Warszawie 56,14 proc., najmniej w miastach gubernji siedleckiej 31,5 procent. W gminach stosunek ludności katolickiej wynosi 83,3 proc., lecz do gmin zaliczono tu także mnóstwo drobnych miasteczek o ludności przeważnie żydowskiej. W rzeczywistości wieś w Królestwie jest prawie całkowicie katolicka.

Od roku 1827 stosunki wyznaniowe w Królestwie przesunęły się znacznie na niekorzyść ludności katolickiej. W roku 1827 ludność katolicka stanowiła tu 84,1 procent, a łącznie z grecko-unitami 86 proc., ludność prawosławna 0,1 proc., protestanci 4,6 proc., żydzi 9,3 proc. Uderza wzrost procentu żydów. Brak danych, aby śledzić ten ruch ludności w odstępach czasu regularnych i stopniowo; są natomiast dane, oświetlające tę rzecz od roku 1890. W porównaniu z tym rokiem odsetek ludności katolickiej prawie się nie zmienił, wynosił bowiem wówczas 75,9 pr. Ludność prawosławna zmniejszyła się nieco, a to z powodu przejścia na katolicyzm znacznej części dawnych unitów. Ludność protestancka także zmniejszyła się o drobny ułamek, mianowicie z 5,4 spadła na 5,32 proc. Natomiast ludność żydowska, przed dwudziestu laty dająca odsetek 13,9 zwiększyła się do 14,64 pr. Tylko w gubernji łomżyńskiej ludność żydowska nieco się zmniejszyła.

Stosunek ludności Królestwa pod względem narodowości przedstawia się, jak następuje: polaków naliczono w 1911 roku 8,957,700, litwinów 411,400, rosjan 836,600, Niemców 539,800, żydów 1,680,600. Dane te nie uwzględniają małorusinów, a wśród prawosławnych, byłych unitów, z gubernji lubelskiej i siedleckiej zapisują tylko nikły procent polaków. Z ludności polskiej Królestwa litwini zajmują zwarłą masą część gub. suwalskiej, w której stanowią 54 proc. ogółu ludności, w trzech powiatach wszakże przekraczają 80 pr. Przyrost tej ludności jest

słabszy w porównaniu z danymi z przed 10 laty, odsetek jej obniżył się nawet.

Co do innych narodowości, to w roku 1897 liczone w Królestwie: wielkorosjan 267,160, małorosjan 336,337 oraz białorusów 29,346. Po wyłączeniu wojska było wielkorosjan w tym roku 100,000, czyli 1,09 pr. Przyrost naturalny ludności rosyjskiej stanowi wśród prawosławnych 1,4 pr., wśród staroobrzędowców 2,06 pr. Przyrost faktyczny ludności rosyjskiej jest głównie następstwem wzrastającego napływu urzędników. Zaznaczyć należy, iż także znaczna ilość żydów podała narodowość rosyjską. Wśród urzędników jest rosjan 37 pr., czyli dziesięć razy tyle, ile wynosi procent tej ludności w Królestwie.

Wśród ogólnej liczby ludności w roku 1910 było 9,624,165 osób zamieszkałych w Królestwie stałe, 2,224,412 osób ludności niestałej, oraz 86,741 cudzoziemców (7 pr.). Najwięcej cudzoziemców mieszka w gubernji piotrkowskiej, z Łodzią, (1,4 proc.), najmniej w gubernji łomżyńskiej (0,1 pr.). Jest to przeważnie napływowa ludność miejska z Niemiec. Natomiast niemieckich kolonistów rolnych, którzy dawniej wprost zalewali Królestwo, obecnie już nie przybywa; ci zaś, którzy osiedlili się w Królestwie przed r. 1864, są już poddanymi rosyjskimi. W gubernji piotrkowskiej liczba cudzoziemców spadła również z 2,5 proc. w roku 1889 na 1,4 proc. w roku 1905, głównie wskutek wymaganej naturalizacji formalnej.

Królestwo należy obecnie do tych nielicznych krajów Europy, w których płeć męska liczebnie przeważa nad żeńską.

W roku 1911 naliczono w Królestwie 6,274,000 mężczyzn, a tylko 6,192,500 kobiet. Na 100 mężczyzn przypada tylko 98,7 kobiet, podczas gdy w Rosji na 100 mężczyzn 102,3 kobiet; a w Europie przeciętnie nawet 102,8 kobiet. Objaw ten zaznaczył się w statystyce Królestwa dopiero od roku 1909, dawniej i w tej części Polski liczba kobiet przeważała, nawet dość znacznie, tak np. w r. 1890 było jeszcze 107,6 kobiet na 100 mężczyzn wskutek silnej emigracji mężczyzn do Ameryki, zwłaszcza do Brazylii.

Naturalny przyrost ludności był w ostatnim czasie znaczny, a to zwłaszcza wskutek zmniejszenia się śmiertelności. W r. 1908 liczone na 1000 mieszkańców urodzeń: 37,5, zgonów 21; naturalny przyrost wynosił więc 16,5 na tysiąc, czyli 1,65 proc. W Galicji w roku 1910 naturalny przyrost wynosił tylko 1,46 proc., natomiast w W. Ks. Poznańskim 1,94 procent. Po odliczeniu ubytku spowodowanego emigracją oraz po odliczeniu imigracji (przeważnie żydowskiej), faktyczny przyrost roczny Królestwa dosięga 1,7 proc., podczas gdy w Galicji w ostatnich latach wynosił tylko 1,05 procent.

Podjęto także próbę obliczenia ludności polskiej na całym etnograficznym obszarze dawnej

Rzeczypospolitej. Na tym obszarze, do którego zaliczono oprócz Królestwa całą Galicję, W. Ks. Poznańskie, Prusy zachodnie, Warmię i Mazowsze pruskie, cały Śląsk austriacki oraz Śląsk Górny (okręg opolski), żyje obecnie 26,666,000 mieszkańców; w tej liczbie 17,4 milionów Polaków, czyli 65 proc. ogólnej ludności. Obliczenie to jest jednak nie zupełnie ścisłe; od polskiego obszaru etnograficznego odliczyć bowiem należy Śląsk opawski, zachodnio-północne, już czysto niemieckie powiaty Górnego Śląska i niektóre powiaty Prus zachodnich i Warmji. Jeżeli w ten sposób zredukujemy obszar, a tem samem i ludność obcoplemienną, ludność polska w granicach etnograficznej Polski, do której zaliczyć należy także niektóre powiaty gubernji grodzieńskiej, wynosić będzie przeszło 70 procent ogólnej liczby mieszkańców. Stanowi więc na tym obszarze przewagę daleko znacniejszą, niż np. przewaga ludności maziarskiej w krajach korony św. Szczepana.

lejowych — jak objaśnia mnie jeden z oficerów — dla przykładu.

Pociąg wśród szubienic posuwa się powoli, podróżni skracali sobie czas pogawędką. Małe nasze towarzystwo, złożone z 6 osób, od dwóch dni przebywało już razem w ciasnym przedziale. Wszyscy podróżni, o ile sądzić mogłem z zachowania i rozmowy, byli tubylcami, jadącymi mimo zawieruchy wojennej za interesami. Jeden zwrócił moją uwagę. Wskoczył do wagonu w Soledas, w chwili gdy pociąg już ruszał i następnie przeszedł do naszego przedziału. Na meksykańskich kolejach są tylko dwie klasy, drugą podróżują jednak zwykle ubodzy tylko i indjanie. Podróżny wtulił się w róg ławki, nacisnął na czoło szerokie sombrero i milcząc nie ruszał się z miejsca. Myślałem, że śpi.

Zapadała noc, rozmowa umilkła. Nagle tuż za oknami rozległo się kilka strzałów, kilkakrotnie powtórzonych echem, wagon zakołysał się, zahamowany nagle, zgrzytnęły koła, pociąg stanął. W prze-



Uczestnicy wykładów ekonomicznych, zorganizowanych staraniem Tow. Rozwoju Przemysłu i Handlu, podczas zwiedzenia składów i magazynów „Ł. J. Borkowskiego“.

W MEKSYKU.

Niez mordowany korespondent pism włoskich i angielskich, Luigi Barzini, nie przestaje zasilać tych pism obrazkami stosunków, panujących obecnie w Meksyku, a ścinających nieraz krew w żyłach.

Tak opisuje, na przykład, Barzini niedawną podróż swoją koleją z stolicy do terytorjum zajętego przez powstańców.

— Czy jesteśmy już w alei straceńców? — zapytał mnie jeden z podróżnych, a na potakującą odpowiedź dodał z zadowoleniem:

— No... to prędko poszło.

Patrząc przez okno i cofam się z przerażeniem: na każdym słupie telegraficznym kołysze się trup wisielca. Taka straszliwa aleja nie należy w tym kraju do osobliwości. Wszystkich powstańców zabitych koło linii kolejowej wieszają na słupach ko-

dziale naszym zaległa cisza, minuty zdawały się być wiecznością. Nikt nie rzekł słowa i bez tego wiedzieliśmy, co się stało: pociąg napadli powstańcy. Patrzelśmy na siebie przerażeni; jedna z kobiet cicho płakała. Z zewnątrz dolatywały oderwane głosy i tętent koni, galopujących po piasku. Przez drzwi wtarnęło nagle kilku uzbrojonych mężczyzn. Lufy karabinów skierowały się ku nam.

— Wstać!

Podróżni wstają posłusznie jak dzieci w szkole. Jeden z uzbrojonych kolejno podchodził do nas i patrzył długo i badawczo w twarz. Był to gruby mulat z meksykańskim sombrero i w poprawnym surducie europejskim; szyję owiniętą miał ordynarną, czerwoną chustką do nosa. W jednej ręce trzymał mały pistolet amerykański, w drugiej lampę, którą świecił nam w twarz. W wagonie była śmiertelna cisza.

— Niema się czego bać — odezwał się mulat do kobiety, która z płaczem upadła na ławkę — my

tu tylko kogoś szukamy. Czy to są wszyscy podróżni? — zapytał konduktora.

Nim ten odpowiedział, rozległy się wołania:

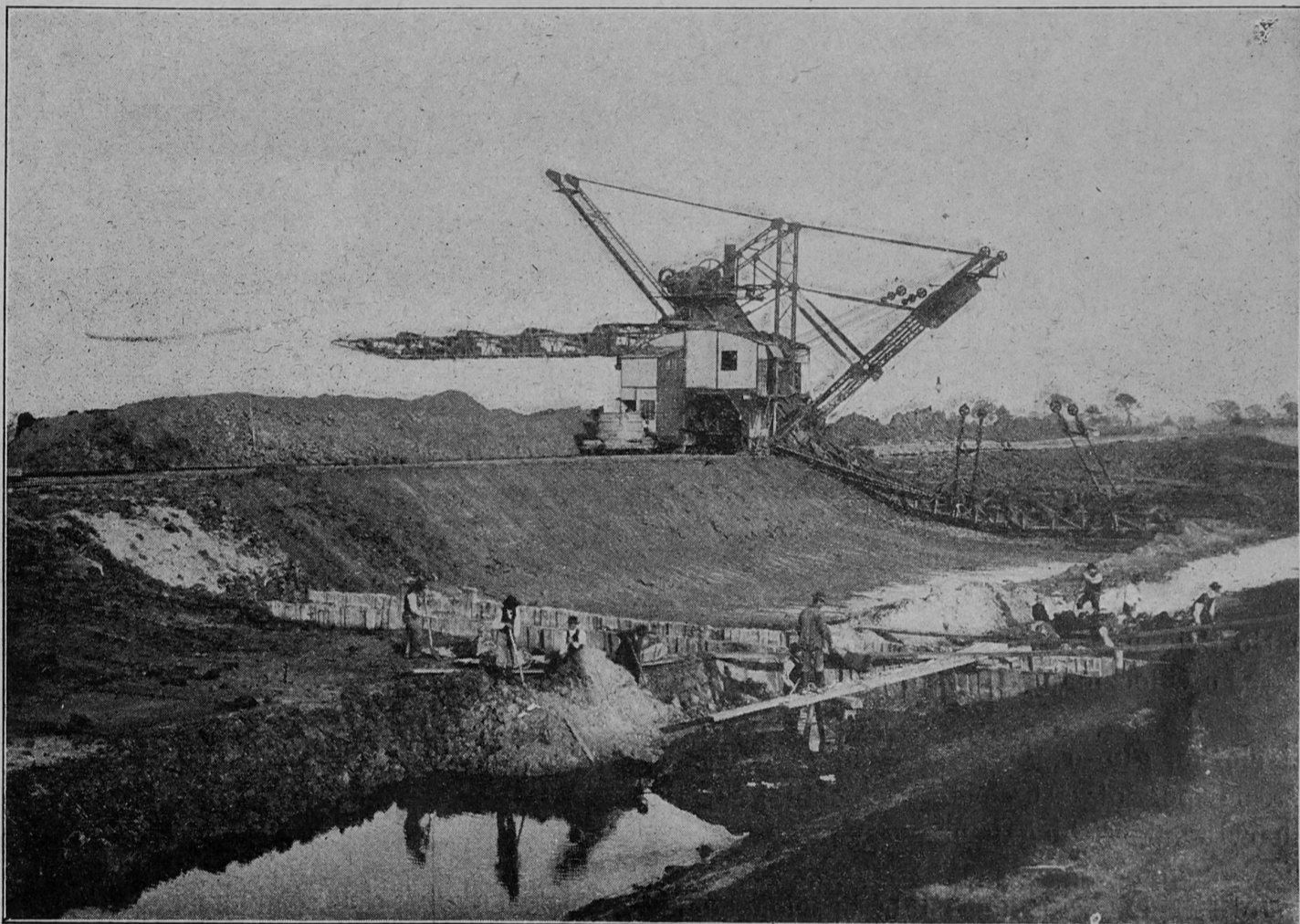
— Jest! tu jest!

Kilka rąk wyciągnęło się jednocześnie w róg ławki, gdzie spoczywał milczący podróżny. Wyciągnięto go brutalnie, kapelusz spadł mu z głowy; zobaczyłem twarz bladą, skurczoną śmiertelnym strachem.

— Z nami—zakomenderował mulat.

Podróżny nie stawiał żadnego oporu. Zbrojni z jeńcem zniknęli w ciemnościach nocy, pociąg ru-

Zatora do Samborka wre gorączkowa robota. Kopanie kanału odbywa się za pomocą maszyn, tak zwanych bagrów. Bagier, przedstawiony na załączonym rysunku, jest to maszyna, która na długim żelaznym ramieniu posiada szereg wielkich ruchomych stalowych szufli i te szufle opuszczone na ziemię i tłoczone ciężarem własnym wżerają się w grunt; napełnione ziemią bezustannie jedna za drugą podnoszą się w górę i zsypują ziemię na nasyp lub na wózki, które po szynach odwożą ziemię. Dotąd wykopano już 2 miliony metrów sześciennych, to znaczy, że łańcuch wózków, napełnionych wykopaną ziemią opasałby ćwierć kuli ziemskiej. Samo wykonanie nasypu wymaga staranności, głównie ze



Budowa kanału w Galicji. Bagier przy robocie.

szyl powoli. Nie ujechalśmy jeszcze kilku kroków, gdy gdzieś koło pociągu w polu gruchnęła salwa. Była to egzekucja nad naszym tajemniczym towarzyszem podróży.



Budowa kanału galicyjskiego.

Tak dawno upragniona budowa kanału spławnego w Galicji po długim zwlekaniu rozpoczęta przed trzema laty posunęła się już naprzód dość daleko.

Kanał galicyjski przetnie Galicję tak, że połączy wody Wisły, Dunaju i Odry. Głębokość drogi wodnej wynosi 3 metry, a szerokość 30 metrów, tak iż dwa statki swobodnie mogą się minąć.

Główną część budowy stanowią roboty ziemne: wykopy i nasypy. Już na przestrzeni 24 wiorst od

względem na konieczne uszczelnienie i konieczną nieprzepuszczalność kanału. Dlatego dno i ściany uszczelnia się warstwą łu lub gliny grubości łokcia, a sam nasyp ubija się starannie i wiąże z gruntem.

Ponieważ droga wodna nie może być ani opuszczona, ani podniesiona, budowa jej połączona jest z wielkimi trudnościami i kosztami. Tam, gdzie spotykano na drodze kolej żelazną, trzeba było ją przekładać. Jeszcze gorzej jest przy skrzyżowaniu się kanału z rzekami i potokami niżej położonemi. W takim razie budowane są tak zwane akwadukty, czyli jakoby żłoby ogromne żelazno-betonowe. Temi żłobami płynąć będą łodzie i statki, jakby po moście ponad rzekami. Mniejsze poprzeczne potoki przepuszcza się za pomocą rur betonowych lub żelaznych popod kanałem. Przy takich robotach napotykanie są niespodziewane trudności. Największy przepust był budowany w Brzeźnicy dla potoku Brodlówki. Przy kopaniu natrafiono na olbrzymi napływ wody podziemnej; trzeba było ją wypompo-

wywać. Postawiono więc szereg pomp wielkich, które, pracując dzień i noc, wypompowywały wodę. Lecz cóż się stało? Oto we wszystkich przyległych wsiach zabrakło wody do picia! Pogłębiano więc studnie, ale to niewiele pomogło. Trzeba myśleć o innym sposobie dostarczenia wsiom wody.

Z budową tego kanału związana jest robota meljoracyjna dla podniesienia gospodarstwa rolnego i rybnego w przyległych do kanału gminach. Więc stawy i łąki są nawadniane, kopane są rowy i zakładane dreny w zabagnionych gruntach—bezpośrednim następstwem czego jest podniesienie wartości i wydajności gospodarstw. Przy robotach znajdują pracę tysiące ludzi pod kierunkiem inżynierów polaków.

To olbrzymie przedsięwzięcie techniczne wyłącznie naszymi siłami prowadzone nie prędko jeszcze będzie ukończone, ponieważ długość kanału będzie wynosiła 440 wiorst. Do dziś wykonano zaledwie 20-tą część pracy. Obowiązkiem i zadaniem nowego sejmu będzie staranie, aby prace kanałowe jeszcze przyspieszyć i prowadzić zdwojonymi siłami.

N. Tracz.



STRACONY.

SZKIC.

Światło dzienne już przekradało się przez podartą roletę, uwidoczniając na poduszce twarz leżącego.

Spał ciężko, głowę miał na wznak, czoło spocone, usta nawpół otwarte. Po jego ładnych, ale obwisłych rysach, przebiegał niekiedy wyraz smutku czy przygnębienia.

Na stoliku przed łóżkiem stała butelka koniaku i kieliszek, na podłodze poniewierała się otwarta książka. Ubranie tu i owdzie porozrzucone—wszystko nadawało pokojowi wygląd ogromnego nieładu.

Godziny upływały. Turkot uliczny coraz się powiększał. Na schodach słyhać było kroki odchodzącego listonosza — nie jednak, oprócz chrapania śpiącego nie ożywiało martwoty w pokoju. Zegar ścienny wybił dziewiątą.

Śpiący przeciągnął się na łóżku, otworzył zaspane powieki, ażeby je ponownie przymknąć, potem ziewnął i leżał nawpół przebudzony, apatyczny, nieruchomy.

Drzwi otwarły się — weszła stróżka posługująca mu.

— Czy tak? pan jeszcze śpi — rzekła, uśmiechając się, położyła na stole kurjer i zaczęła zbierać ubranie, wydzielając nieprzyjemny zapach niechlujstwa. Młody człowiek ocknął się, wyraz apatii stał się silniejszym na jego twarzy.

— Podnieść roletę — rzekł głosem trochę niepewnym.

Pociągnęła silnie — sznurek zerwał się.

— Masz tobie — mruknęła, stawiając spadłą roletę w kącie i wyszła z pokoju.

Wyciągnął rękę po kurjer, otarł spocone czoło i zaczął czytać, nieprzytomny, ciągle ziewający. Obojętnem dlań było czy Andrée dotrze do bieguna, czy potęgi Europejskie utrzymają pokój... cóż to wszystko mogło go obchodzić? Czuł dobrze, że życie jego przez to i tak się nie zmieni — jemu chodziło o spokój, o spokój z strony... przyjaciół, wróżących mu jeszcze wielką przyszłość na niwie literackiej, nastających nań wierzycieli i wymagających pracy nakładców.

— Nowe książki...

Spojrzenie jego coraz więcej zaczęło się ożywiać. Ach, więc Alfons Złapkowski znów wydał nową książkę... krytyka obejmuje całą szpalte... misterne psychologiczne szkice... forma niezwykła... talent niepospolity itd.

Nagle wybuchnął głośnym śmiechem. Wyobrazić sobie coś podobnego, że Złapkowski, właśnie Złapkowski, ten otyły, blady, flegmatyczny osobnik, który nigdy nie miał własnej myśli, najgłupszy z głupich, pokrywał się teraz zielenią, niby drzewo oliwne i stawał się niemal Koryfeuszem dla tłumu!

A on sam?...

On tylko był właściwym talentem, jedynym, prawdziwym, zupełnym talentem; ci drudzy byli tylko rzemieślnikami. Wiedział, że więcej mógł dać zdrowego sensu w jednym wierszu, aniżeli oni w całej książce. A jednak?...

Nie pisał nic, w tem właśnie leżało nieszczęście.

W jaki sposób doszło do tego?

Sięgnął pamięcią w swoje minione życie. Były to wesołe i jasne wspomnienia, ale ciemniały im bardziej się zbliżały do jego obecnego „ja“ — do jego obecnego położenia.

— Najpierw przesunął się w jego pamięci obraz młodego obiecującego studenta, o twarzy pokrytej puszką młodzieńczym, twarzy prawie kobiecej, pełnej entuzjazmu, idalnej nad wyraz!... Później był to obraz młodego autora, również ładny: twarz blada, wygląd inteligenty, pojęcia trochę już zmienione, lecz zawsze pełne entuzjazmu i genialności, unoszące się jak wiosenny przybór... pełne siły twórczej.

Wiedzy posiadał dosyć, ale brakło mu siły, wytrwałości... W drogę weszły mu kobiety, przepadające za nim, kochające go nad życie... Wciągały go one pomiędzy siebie, czyniąc zeń zabawkę. On był ich klejnotem — ich paziem. Przyciągały go ku sobie śnieżnej białości ramiona, anielskim spojrzeniem, pochlebstwem. Zachwycały się jego utworami poetyckimi, jego oczami... czyniąc zeń półbożka, rozrywając jego talent — niby listki stokrotki.

A jego koledzy?...

Lubiano go... był ich Benjaminkiem!... Zabawa

żadna nie obeszła się nigdy bez niego — a on do-
trzymywał zawsze placu — bawiło go to bardzo.

Ale potrosze siła twórczości zaczęła wysychać;
nie dbał już o nią. Czasem tylko napisał poezję liry-
czną albo obrazek dedykując go wielbicielkom...

I za każdy wiersz jego pióra głośzono jego
talent w kółkach, gdzie się obracał.

Zbierano się przy nim, jak na wiosnę około
kwitnącego drzewa owocowego z myślą, że na je-
sieni wyda obfite owoce.

I właśnie nadeszła jesień.

Przyjaciele, śpiewający hymny na cześć jego,
zaczęli być niespokojni. Kobiety, pałace przed nim
kadzidla, prasa oburzająca się sama na siebie za pro-
roctwa fałszywe o jego twórczości, wreszcie nakład-
cy, którzy mu dali wysokie zadatki na jego wiel-
kość — wszyscy zaczęli żądać rezultatów.

— Kiedyż u licha, ujrzymy jaką większą twą
pracę mówili mu przyjaciele, a wielbicielki prze-
chylały główki, prosząc go czułym spojrzeniem, by
popracował... dla nich. On całował ich miękkie, ala-
bastrowe rączki i... obiecywał tworzyć.

Ale niestety, nie był już w możności.

Natchnienia, niegdyś przychodzące tak łatwo,
teraz znikwały jak widma w mgle. Ambicja zniewa-
lała go do napisania mniejszego szkicu albo noweli,
ale kółko wielbicielek i wielbicieli coraz zmniej-
szało się.

Zaczął stronić od świata. Nad wesołych kole-
gów przekładał teraz... kieliszek koniaku.

Kobiety wielbicielki niechętnie pozbywały się
zdobyczy, lecz kiedy coraz więcej zaczął zaniedby-
wać swój ubiór, odsunęły się od niego. Straconego
genjusza mogły protegować, ale niechlują — nie.

* * *

Południowa godzina dawno mineła. Powstał
z posłania. Recenzja książki Złapkowskiego wywarła
na nim przykre wrażenie, zdawało mu się, że ktoś
uderzył go biczem. Nagle przyszła mu chęć poka-
zania się przed tymi, którzy o nim tak zwątpili.
Ubrał się szybko, wlał w siebie kieliszek koniaku
i zasiadł przy biurku. Ręce drżały mu trochę, ale
pisał bez przerwy, zapełnił stronę i połowę drugiej...
siły jednak wymówiły posłuszeństwo — ręka dzier-
żyła pióro bezwładnie...

Skończyło się już dlań wszystko, sam przeko-
nał się, że nie wart więcej od spalonej zapalniczki...

A możeby, myślał, dać reporterom możliwość
zamieszczania w pismach: „Smutne zdarzenie, miało
w tych dniach miejsce w naszym mieście, uzdolnio-
ny pisarz itd.“

Wtedy chyba nie odmówią mu pochwał, wszak
nieboszczyków zawsze chwala. Odsunął papier, wy-
chylił jeszcze jeden kieliszek koniaku i rzucił się
niedbale na niezasałone łóżko, w oczekiwaniu na swą
jedyną już teraz pociechę na... sen.

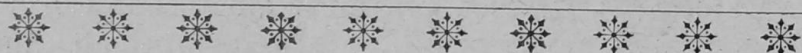


Z blizka i daleka.

Z dziejów kinematografu. Kiedy bracia Lumière
wynaleźli w Lugdunie w r. 1896 aparat, który zdejmował
sceny ruchome w szeregu następujących po
sobie 15 do 30 zdjęć na sekundę, utrwalali z roz-
winiętych negatywów pozytywne kopje na długim
paśmie celuloidowem i te kopje rzucali w wielkich
rozmiarach, w tym samym czasie, w jakim dokony-
wane były zdjęcia, na jasne płótno — nie zdawali so-
bie sprawy, że ich wynalazek wywoła istny prze-
wrót w przemyśle widowiskowym i że popularność
fotografii ruchomych dojdzie do tych rozmiarów, do
jakich doszła obecnie. Sama zasada pomysłu nie da-
wała ludziom spokoju już od r. 1829, kiedy się zja-
wiają pierwsze próby optycznego zestawienia serji
obrazów. W r. 1853 niemiecki feldmarszałek Ucha-
tius rzucił już na ścianę obrazy ruchome, dalekie
oczywiście od dzisiejszej doskonałości. Do tej do-
skonałości zbliżył się już znacznie elektrotachyskop
Anschuetza. R. 1905 przyniósł kinetoskop Edisona,
który połączony był z towarzyszącym akcją fono-
grafem, ale kinetoskop aż do niedawnych czasów
nie mógł dawać zupełnego złudzenia prawdy. Do-
piero firma Lumiere wytworzyła epokę w zastoso-
waniu tego wynalazku, korzystając już dużo z prac
Edisona. Ulepszenia posypały się już odtąd tłum-
nie i udoskonalają nieledwie z każdym miesiącem
ten nowy cud techniki.

Narodowy teatr turecki. Ambicją młodoturków
było założenie narodowego teatru tureckiego. Na
organizatora sprowadzono do Konstantynopola po-
przedniego kierownika teatru „Odeon“ w Paryżu,
głośnego Antoine'a. Prefektura miejska w Kon-
stantynopolu podpisała umowę z Antoine'm, mocą
której Antoine zobowiązał się założyć teatr narodo-
wy turecki. Zanim atoli przyjdzie do założenia te-
atru, pan Antoine założy konserwatorjum muzyczno-
teatralne. Dla tego zakładu Antoine opracuje pla-
ny naukowe. Teatr narodowy turecki ma grać tyl-
ko od 25 czerwca do 25 września. Pan Antoine bę-
dzie mieszkał przez ten czas w hotelu na koszt pre-
fektury. Bardzo trudną do załatwienia sprawą jest
pytanie, skąd ów teatr narodowy turecki weźmie
aktorki. Prefektura w Konstantynopolu postawiła
za warunek, że kobiecie tureckiej nie wolno odda-
wać się zawodowi aktorskiemu. Prawdopodobnie
więc teatr narodowy turecki będzie się musiał po-
sługiwać aktorkami ormiańskimi. Nadto dla kon-
serwatorjum jako uczennice mają być pozyskane cy-
ganki z Serres i Aleppo. Te cyganki mówią podo-
bno dobrze po turecku. Przeciwnicy teatru turec-
kiego twierdzą ironicznie, że przy konserwatorjum
będzie trzeba założyć szkołę elementarną, w której
przyszłe aktorki będą się równocześnie uczyły sztuki
czytania i pisania. Konserwatorjum prócz sztuki
aktorskiej będzie kształciło także muzyków.

Potworny zbrodniarz. Kaleka bez obojga nóg opowiadał w tych dniach przed sądem przysięgłych w Rennes, oskarżony o usiłowany mord rabunkowy. Z powodu braku nóg oskarżony wyrobił tak silnie mięśnie swoich rąk, iż umie na nich jak kot szybko się posuwać. Kaleka ten usiłował udusić gospodynię wiejską, aby odebrać jej 1300 fr. Nocą przystawił do chaty drabinę 10-metrową, wlaźł po niej na rękach na pierwsze piętro i oknem dostał się do wnętrza mieszkania. Gdy włościanka przebudziła się, morderca już był na łóżku i chwycił ją pod gardło. Dusząc, bił ją jeszcze hakiem i puścił ją dopiero, sądząc, że już nie żyje. Zabrawszy 1300 fr., chciał się oddalić. Włościanka, odzyskawszy przytomność, zaczęła krzyczeć o pomoc. Kaleka rzucił się na nią ponownie, ale duszona ugryzła go w palec tak silnie, że krzyknął z bólu. Na to nadbiegli sąsiedzi i ujeli go. Przed sądem oskarżony dał próbę swoich zdolności w posuwaniu się i jak kot skoczył na stół. Przysięgli skazali go na 6 lat zesłania do Nowej Kaledonji.



SZARADA.

Piękne *wszystkie*. Autor tej szarady, zbudowanej z wierszy mało wartych, kornie pada wam do *drugich, czwartych*, chcąc na kłopot *pierwszy piąty* rady. Jest żonaty: żona go posyła, *trzecie, drugie piąte*, do fryzjera, będzie burza, gdy źle podobiera; sławę głoszą dzieje *trzecich czwartych* od swych siostrzyc w niczem mniej nie wartych.



Trafne rozwiązania zagadki z nr. 23 „Ziarna”

Irati, Adam Asnyk, nas, Krasnystaw, Owiedo, czyn, hurystka —

JAN KOCHANOWSKI

nadesłali: Bronisława Górską z Zielonki, L. Roszkowska z Słucka, Adam Kucewicz z Tuczyna, A. Koczerginówna z Dietrznik, St. Kimaczyński z Szczebrzeszyna.

Z losowania wypadła nagroda dla A. Kucewicza z Tuczyna.

Zamiejscowi zechcą nadesłać na przesyłkę książki 20 kop. w markach.

PRZEDPŁATA na tygodnik „ZIARNO” wraz z wszystkimi 53 dodatkami wynosi: w Warszawie rocznie rubli 6, półrocznie rb. 3.00, kwartalnie rb. 1.50, z przesyłką pocztową rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3,50; kwartalnie rb. 1.75, zagranicą rocznie koron 20, albo marek 17, półr. k. 10, albo m. 8¹/₂, kwart. k. 5 albo m. 4.25 albo 1 dolar.

Adres Redakcji i Administracji „Ziarna” w Warszawie: Tamka 46, telefon Redakcji 402-44.

Redaktor i wydawca: L. Marjan Wolff.

Kierownik literacki: dr. fil. Tadeusz Jaworski, przyjmuje codz. od 6—7 ppł.

Papier: Krajowej Spółki Papierniczej.

Druk E. Szyllera, Tamka № 46.

Królowie polscy,

Obraz rysunku J. Matejki, kolorowany przez M. Gerson-Dąbrowską, wykonany litograficznie w 18 kolorach, wyszedł w nowym nakładzie księgarni Jana Fiszera. Portety 40 królów polskich ułożone są na tle godeł narodowych i herbów Polski, Litwy i Rusi. Rozmiary dużego kartonu 74×100 cm. Piękna i barwna litografia oraz przedewszystkiem wzniosły temat i praca najslawniejszego malarza polskiego zalecają wspinać to wydawnictwo. Obraz, stanowiący prawdziwą i cenną pamiątkę narodową, winien znajdować się w każdym domu polskim.

Dzięki pomyślnemu układowi z firmą księgarską Jana Fiszera możemy Czytelnikom „Ziarna” ustąpić obraz ten po cenach niższych i to na grubym papierze kartonowym po 2 rb. (zamiast 3 rb.); a podklejony płótnem na wałkach po 3,50 rb. (zamiast 5 rb.). Koszty przesyłki pierwszego obrazu wynoszą 50 kop., drugiego 85 kopiejek.

Zamówienia i przekazy adresować należy do Administracji „Ziarna” z nadmienieniem, że wysłaną sumą (2,50 rb. lub 4,35) przeznaczoną jest na dostarczenie obrazu „Królów Polskich”.

Zachęcamy raz jeszcze naszych Czytelników do skorzystania z rzadkiej sposobności nabycia dla domu swego pięknej i patriotycznej ozdoby.

Od Administracji.

Uprzejmie prosimy o rychłe odnowienie przedpłaty na kwartał III-ci.

Do numeru niniejszego (25) załączamy jeden arkusz mód letnich oraz prospekt: „Zasilajcie oziminy Tomasówką!” — który polecamy uwadze naszych czytelników.

TREŚĆ N-ru 25.

Francuz o żydach w Polsce. — Między niebem a Warszawą. — Henryk Rzewuski: Zamek krakowski, romans histor. z w. XVI (c. d.). — Z cyklu «Opamiętań», wiersz J. Węgleńskiego. — Nasz kraj w cyfrach. — W Meksyku. — Budowa kanału galicyjskiego. — Stracony, szkic. — Z bliska i daleka. — Szarada i rozwiązanie. — Od Administracji.

Ilustracje. E. Lebrun: Portret własny. — A. Pégoud na swym aparacie. — Jednopłatowiec Pégouda przed hangarami. — Jednopłatowiec Blériota używany przez A. Pégouda do wlotów karkołomnych. — N. Sichel: Judyta. — Uczestnicy wykładów ekonomicznych. — Budowa kanału w Galicji.